

PAUza

Akademicka



Rok XIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 532

Kraków, 19 listopada 2020

pauza.krakow.pl

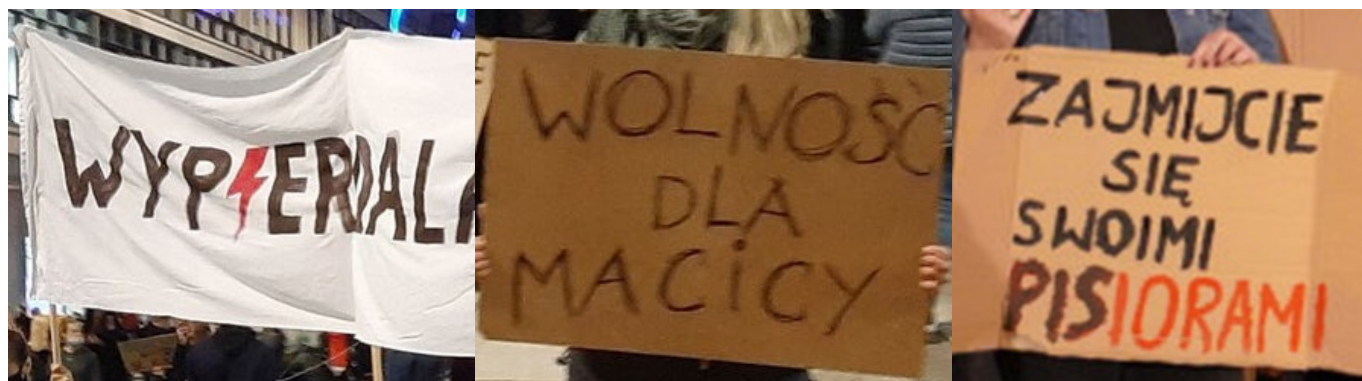
pau.krakow.pl

Język protestu

Po decyzji Trybunału Konstytucyjnego o niezgodności z Konstytucją RP zapisu umożliwiającego terminację ciąży na skutek wad letalnych płodu rozpoczął się w Polsce strajk. Język strajkujących był językiem buntu przeciw narzucaniu reguł prawnych, więc miał silnie ekspresywny charakter. Ekspresja ta przybrała jednak postać wyjątkowo wulgarną. Z pewnym zażenowaniem podaję przykłady: „*Moja p.... należy do mnie!*”, „*Moja szpara mówi wara!*”, „*Wyskrobie się, gdy zechcę*”, „*J... kler!*”, „*Koniec laby, teraz was z.... baby!*”, „*P.... PiS!*”. Emocje strajkujących oraz ich postulaty wyrażało głównie jedno wulgarnie słowo wy....ć. Obok niego wybrzmiewało wiele podobnych

tych biur, zostawianie na drzwiach domów kartek z pogróżkami, zakłócanie mszy, wieszanie kukieł przedstawiających członków prawicy, próby zastraszenia to typowe akty przemocy rytualnej.

Język protestów pełnił również funkcję dezintegracyjną wobec kultury. Naruszał bowiem granicę sacrum. Uczestnicy strajku zachowywali się równie niegodnie jak chuligani malujący na ścianach synagogi szubienice z gwiazdą Dawida – umieszczali wulgarne napisy na kościołach i w ich wnętrzach, zakłócali msze, niszczyli pomniki. W ten sposób złamali zasadę nietykalności tego, co w kulturze jest symboliczne i wspólne, bezpieczne i stałe mimo zmienności świata,



stylistycznie, jak *ch...* czy *k...*, kierowanych w stronę polityków PiS oraz księży (kilkakrotnie nawet bezpośrednio). Inwencja strajkujących polegała również na zapisywaniu takich słów na ścianach budynków, w tym ponad 80 kościołów w Polsce. Ten prymitywny język został uznany za stosowny i jako użyty w warunkach silnego wzburzenia – usprawiedliwiony przez kilku pracowników uczelni wyższych. Uznają to za typowy i bardzo niebezpieczny przejaw desensytyzacji (odwrażliwienia) i celowego unieważniania istotnych funkcji języka.

Język, obok realizowanej podczas strajków funkcji ekspresywnej, ma ważne funkcje społeczne – wspólnototwórczą (wobec całego społeczeństwa i grup społecznych) oraz identyfikacyjną (wobec szeroko i wąsko rozumianej kultury). Funkcją antagonistyczną wobec funkcji wspólnototwórczej jest funkcja dezintegracyjna. Pełni ją np. mowa nienawiści, polegająca na tym, że niektórym osobom lub grupom bez formalnego pozbawienia ich praw obywatelskich odbiera się możliwość bycia w społeczeństwie i za pomocą redukujących i stygmatyzujących zabiegów językowych komunikuje, że można je traktować gorzej niż innych – bez poszanowania i z pogardą. Taką właśnie funkcję miały wulgarnie słowa podczas tzw. strajku kobiet.

Ocena języka protestów w szerszym kontekście powinna być jeszcze bardziej surowa. Takie zachowania strajkujących, jak zbieranie się pod domami posłów PiS, pod biurami poselskimi, niszczenie

tym samym komunikując, że to oni będą decydować o naszym prawie do praktyk religijnych, o naszym bezpieczeństwie w kościele, a także o sposobie wyznaczania i traktowania obszaru sacrum.

Zdewastowanie zabytkowego kościoła w Piasecznie, który (wraz z ukrywającymi się w nim ludźmi) oszczędzili w czasie wojny Niemcy, było wstrząsającym aktem przemocy wobec wierzących mieszkańców miasta, bo przecież kościoły są, podobnie jak pomniki, dobrem kultury, a nie własnością księży czy rządu. Takie zachowania komunikacyjne trudno uznać za usprawiedliwione nawet wtedy, gdy istnieje zgoda co do przedmiotu sprzeciwu.

Brak przeciwdziałania obecności w sferze publicznej nieetycznego, agresywnego i ordynarnego języka i, co znacznie gorsze, usprawiedliwianie jego użycia silnym wzburzeniem powodują zanik wrażliwości na krzywdę czynioną słowem, na chamskie sposoby wyrażania frustracji i buntu, na przemoc jako sposób wpływu społecznego.

Jako przewodnicząca Komisji Etyki Komunikacji w PAU oraz kierownik Obserwatorium Etyki Słowa stanowczo protestuję przeciw takim krótkowzrocznym i populistycznym ocenom wulgarnych zachowań komunikacyjnych. Podczas stanu wojennego wyrażaliśmy sprzeciw wobec zła bez uciekania się do wulgaryzmów i przemocy. Dlatego był on skuteczny.

ANNA CEGIEŁA

Przewodnicząca Komisji Etyki Komunikacji PAU
Uniwersytet Warszawski



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków



Rozkład wielomianowy i Władysław Bortkiewicz.

Reakcja historyka i filozofa nauk ścisłych (oraz fizyka) na tekst pana profesora Andrzeja Staruszkiewicza („PAUza Akademicka” nr 526) i tekst pani profesor Barbary Płytycz („PAUza Akademicka” nr 524)

Z historii nauk ścisłych wiadomo od XVIII wieku, że rozkład liczby ludzi w zależności od płci człowieka opisywany jest *rozkładem dwumianowym*. Z kolei pani profesor Barbara Płytycz zwróciła uwagę, że na gruncie badań medycznych i biologicznych stosunkowo niedawno zachwiany został parydygmat istnienia jedynie dwóch płci człowieka.

Idąc tymi tropami, uważam, że w przypadku wskazanym przez panią profesor można zastosować rozkład wielomianowy, będący uogólnieniem rozkładu dwumianowego.

Ponieważ w przypadku rozkładu wielomianowego tzw. krańcowe funkcje masy prawdopodobieństwa („marginal probability mass functions”) mają rozkłady dwumianowe¹, w przypadku każdej z dominujących płci (mężczyzna i kobieta o prawdopodobieństwie w przybliżeniu $\frac{1}{2}$) możemy te krańcowe rozkłady (zależne tylko od liczebności rozważanej populacji i prawdopodobieństwa pojawienia się pojedynczego zdarzenia narodzin osobnika o danej płci) przybliżyć z dość

dobrą dokładnością rozkładem normalnym (jeśli $np \geq 10$ i $n(1-p) \geq 10$), a w przypadku jakiejś mało prawdopodobnej „płci pośredniej” rozkładem Poissona (jeśli spełniony jest warunek $n \geq 100$ i $np \leq 10$). Profesor Staruszkiewicz miał więc trafną intuicję, że można stosować rozkład Poissona w przypadku analiz demograficznych stosunkowo rzadkich „płci pośrednich” populacji ludzkiej.

Jak wiemy też z historii nauki, wspomniany przez profesora Staruszkiewicza „von Bortkiewicz”, „niemiecki statystyk polskiego pochodzenia”, który zajmował się rozkładem Poissona, to Władysław Bortkiewicz (ros. Владислав Иосифович Борткевич, niem. *Ladislau Bortkiewicz*), urodzony 7 sierpnia 1868 r. w Petersburgu, a zmarły 15 lipca 1931 r. w Berlinie, polsko-rosyjsko-niemiecki matematyk, który za zasługi naukowe był za życia w Niemczech określany mianem „papieża statystyki” (zob. *Wikipedia* 2020a; 2020b; Ostasiewicz 2017)².

MICHAŁ KOKOWSKI
Instytut Historii Nauki PAN

¹ Rohatgi, Ehsanes Saleh 2015, ss. 189–192.

² Ostasiewicz, Katarzyna 2017: „Papież statystyki”, czyli Władysław Bortkiewicz i końskie kopnięcia. *Śląski Przegląd Statystyczny* Nr 15(21), ss. 281–296. DOI: 10.15611/sps.2017.15.16. Dostęp online: <https://dbc.wroc.pl/dlibra/publication/41425/edition/37340/content>.

Krótką glosa do dyskusji o habilitacji

Dotychczasowa dyskusja o habilitacji na łamach PAUzy uświadomiła mi, że nie bardzo mam prawo pisać na ten temat w polskim periodyku. Od wielu lat mieszkam za granicą. Habilitację zrobiłem (w Polsce), ale na rozległych gruntach praktyki uczelnianej i administracyjnej absolutnie do niczego mi ona nie służy.

Moja notatka o habilitacji (PAUza nr 527) mówiła o potencjalnym znaczeniu takiej pracy w rozwoju naukowym danej osoby, raczej jako o procesie dochodzenia do, niż jako o wyniku i późniejszych jego konsekwencjach.

Takie ujęcie nie zostało jednak podjęte we wspomnianej dyskusji, a jeśli, to tylko marginalnie. Główny temat to znaczenie administracyjne habilitacji: do czego jest wymagana, jak pomaga (lub nie) w karierze, i jak jest nadużywana lub źle używana w tych procesach. O tym naturalnie nie mogę pisać, bo po prostu na tym (jak się wydaje, zachwaszczonym) polu moja wiedza i orientacja są marne.

Muszę jednak zanotować potężne non sequitur w dyskusji: to, że źle się dzieje przy aplikacji idei „habilitacja” w polskich realiach akademickich, nie oznacza wcale, że sama idea jest zła i należy wyrzucić ją do kosza. Trzeba po prostu próbować uzdrowić to, co wygląda na chore. Najważniejsza w tym jest administracyjna ochrona dobrej idei i związany z tą ochroną dostęp do środków na badania. Dobra idea to wartościowe, sprawdzone (poprzez peer review) publi/, bo dobra idea rodzi następny pomysł do pracy. Ale nie tylko publikacje: także rzetelne doradztwo, nauczanie i przykład osobisty. Kto i jak ma stać na straży tych wartości? O tym musi dyskutować i w końcu realnie tę koncepcję zbudować i zapewnić jej realizację najlepsze gremium naukowe w Polsce, a władze polityczne powinny tę decyzję naukowców uszanować, wdrożyć i w najlepszej wierze nią się opiekować. Nie ma innej drogi. Wyrzucenie habilitacji, profesury, doktoratu lub magisterium nic nie da, a tylko utrudni tę pracę u podstaw.

MAREK R. LIPIŃSKI
Rhodes University, South Africa



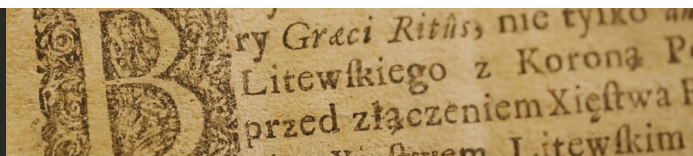
PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA publikacje online – [link](#)

dzieła, arcydzieła

w zbiorach Polskiej Akademii Umiejętności



Nie rozumiem...

Z zainteresowaniem śledzę dyskusję w PAUzie o habilitacji. Domyślam się, że głosy za zlikwidowaniem tego stopnia naukowego wynikają z troski o jak najwyższy poziom nauki w

naszym kraju. Ale nie rozumiem, dlaczego utrzymanie habilitacji miałyby przeszkadzać w podnoszeniu tego poziomu, a jeszcze trudniej mi zrozumieć, dlaczego jej zlikwidowanie miałyby się przyczynić do jego podwyższenia.

Na czym ma polegać podnoszenie poziomu naszej nauki? Są chyba dwa elementy: podnoszenie poziomu kształcenia i badań w przodujących ośrodkach naukowych, gdzie punktem odniesienia jest często poziom nauki w świecie w danej dyscyplinie, i zmniejszanie dystansu słabszych ośrodków do tych najlepszych. Można sobie oczywiście wyobrazić, że interesuje nas tylko ten pierwszy aspekt.

Spójrzmy na problem utrzymania habilitacji lub jej likwidacji z punktu widzenia silnych grup badawczych w Polsce. Merytoryczne kryteria oceny dorobku naukowego są w nich bardzo wysokie. Autorytet naukowy zdobywa się swoimi wynikami badań, a nie stanowiskiem czy stopniem naukowym. Uczestnictwo w szeroko pojętej polityce naukowej jest dostępne dla wszystkich, w silnych grupach naukowych panuje swoisty rodzaj naukowej demokracji.

Bardziej doświadczeni naukowcy sami dbają o dobór jak najlepszych współpracowników. Podział na tzw. pomocniczych i samodzielnych pracowników naukowych już dawno stracił jakiegokolwiek praktyczne znaczenie. Budowanie własnych grup badawczych oparte jest na grantach, których otrzymanie nie jest uwarunkowane żadnymi stopniami, tytułami, stanowiskami. Stanowiska różnią się głównie obciążeniem administracją i (trochę) pensją.

Habilitacja jest naturalną konsekwencją osiągnięć naukowych i jest łatwo osiągalna. Nie jest celem samym w sobie, wymagającym specjalnego wysiłku „pod” habilitację. W takich ośrodkach wymóg habilitacji w żaden sposób nie hamuje rozwoju i działalności naukowej, opartej na zasadach zdrowej konkurencji, młodej kadry naukowej. Trudności z habilitowaniem się w skończonym czasie są najczęściej silną wskazówką za tym, że delikwent nie nadaje się do pracy naukowej. Wymóg habilitacji jako warunku stałego zatrudnienia na stanowisku naukowo-dydaktycznym lub naukowym ułatwia obu stronom podjęcie rozsądnej decyzji i w tym sensie jest pożyteczny. Nawiasem mówiąc, brak oryginalności naukowej nie oznacza, że nie można znaleźć swojego miejsca w środowisku naukowym, np. jako ceniony dydaktyk do pewnego poziomu dydaktyki.

Habilitacja (jej brak) nie jest istotną przeszkodą w umiędzynarodowieniu nauki polskiej. Bądźmy realistami. To nie brak habilitacji jest główną przeszkodą w pozyskiwaniu renomowanych uczonych zagranicznych na stanowiska profesorskie w Polsce. Ale silne grupy badawcze są atrakcyjne dla zdolnych, młodych naukowców z za-

granicy, poszukujących stałego zatrudnienia. Otwarte konkursy na stanowiska adiunkta, rozstrzygane w oparciu o znaczący dorobek naukowy i o listy rekomendacyjne znanych ekspertów zagranicznych – są właściwą drogą do umiędzynarodowienia naszej nauki. Zaczniemy umiędzynarodowienie od młodych. Habilitacja, jako próg do stałego zatrudnienia, jest w takich przypadkach formalnością „załatwianą” po przyjeździe. Mamy tego coraz liczniejsze przykłady na naszych czołowych uczelniach i w instytutach badawczych.

Gdyby jednak uznać, że właściwym modelem rozwoju nauki jest również zmniejszanie dystansu między różnymi instytucjami naukowymi, to argumenty za utrzymaniem habilitacji są jeszcze silniejsze. Z całą pewnością realizacja tego zadania wymaga wypracowania jakichś w miarę uniwersalnych kryteriów oceny dorobku naukowego i pomocy przodującym ośrodkom dla tych słabszych. I właśnie habilitacja daje szansę na pewną uniwersalność takich kryteriów i jest wspomnianą formą pomocy. Jak miałaby wyglądać polityka kadrowa w mniejszych ośrodkach, promocje i nowe zatrudnienia po zlikwidowaniu habilitacji? Wyłącznie w oparciu o decyzje lokalnych komisji konkursowych? Nie rozumiem, jak miałyby to wzmacniać kondycję polskiej nauki. Chyba że stawiamy na ilość, a nie na jakość.

Byłby to, z grubsza rzecz ujmując, model amerykański, w którym naukowych gigantów dzieli przepaść od reszty. W tym modelu rzeczywiście nie ma stopnia doktora habilitowanego i tytułu profesora. Ale naukowcy giganci mają własne metody, zwykle bardzo bezwzględne, oceny i selekcji kadry naukowej.

Warto odróżnić ideę habilitacji jako rzetelnej oceny SAMODZIELNEJ działalności naukowej i dorobku naukowego od jej realizacji w konkretnych przypadkach.

Samodzielność w nauce nie oznacza pisanie jednoosobowych prac naukowych. Wręcz odwrotnie, powinna oznaczać zdolność do inspirowania grupy współpracowników do podejmowania nowych wyzwań badawczych. Doktorat, pisany najczęściej pod dyktando promotora, z pewnością nie spełnia tej roli. Habilitacja nie jest sztuką dla sztuki, lecz oceną samodzielności naukowej.

Wydaje mi się, że wiele głosów krytycznych skupia się na niedoskonałości i różnych patologiach procesu habilitacyjnego, spotykanych tym częściej, im mniejsze jest środowisko naukowe. Takie zjawiska jak stronnictwo recenzji, układy towarzyskie, popieranie słabszych jako mniejsze zagrożenie dla starej kadry nie są zapewne rzadkością. Czyżby zlikwidowanie habilitacji pomogło eliminować takie patologie z naszej nauki? Myślę, że byłoby odwrotnie.

W głosach zwolenników zniesienia habilitacji brak mi konstruktywnych propozycji, jak oceniać samodzielną, podkreślam samodzielną, działalność naukową i jak unikać patologii w nauce, gdyby doktorat pozostał jedynym stopniem naukowym.

STEFAN POKORSKI
Uniwersytet Warszawski

Horror habilitacji – czyli co ogranicza polską naukę

Co jakiś czas wraca na różnych łamach dyskusja o celowości habilitacji (ostatnio w PAUzie nr 528). Co w habilitacji jest złego? Naprawdę nie wiem. Po pierwsze – przechodzi się przez nią raz. Czyli jak ze świnką. Po drugie, oczywiście zajmuje to trochę czasu, ale dla przeciętnych osób na normalnym etapie rozwoju zachodzi na poziomie 30–35 roku życia. Trochę jeszcze zostaje, by wnieść wkład w rozwój ludzkości. Możliwe, że dla niektórych jest to trauma, która się odzwierciedla na całym ich późniejszym życiu (jak sugeruje artykuł profesora A. Jajszczyka), ale dla innych, jak choćby dla mnie, był to okres może nie optymalnie spędzonego czasu, ale jakoś nie odbiegający znacząco od innych. A musiałem opublikować rozprawę, a nie posklejać kilka (lub kilkanaście) artykułów ze sobą i opatrzyć wstępem, jak to obecnie w zwyczaju, i prawie można, a nawet należy. Można było z habilitacji nawet wyciągnąć element zdrowej rywalizacji – kto wcześniej.

O ile mogę zrozumieć uczonych kolegów profesorów, którzy mogą mieć inne zdanie czy wspomnienia, to naprawdę mnie zadziwia, że koledzy PRZED habilitacją wypowiadają kategoryczne zdania odnośnie do procedury, której po prostu nie udźwignęli. Krytykować szlak na Turbacz (no może raczej Szczebel w Beskidzie Wyspowym), nawet nie zasmakowawszy tej przyjemności?

Moim zdaniem habilitacja jest kolejnym progiem, pozwalającym w jakiś sposób eliminować z nauki ludzi, którzy nie potrafią udokumentować swojego rozwoju naukowego i wkładu w rozwój uprawianej dyscypliny. Do tego mógłby służyć już doktorat – tyle że stare prawo kopernikańskie o zastępowaniu lepszej monety przez gorszą odegrało swoją rolę. Doktorat obecnie ma niestety niską rangę i świadczy więcej o sprawności promotora niż doktoranta. Dlatego niezbędny jest kolejny stopień oceniający samodzielność młodego badacza. Czyli habilitacja.

JAKUB ZAKRZEWSKI
Uniwersytet Jagielloński



Do kogo należą stare szkielety?

W listopadowej zadumie, która znajduje wyraz w masowych odwiedzinach cmentarzy, z reguły pograżamy się tam, gdzie spoczywają szczątki osób, które wspominamy. Świadomość ich materialnej obecności nadaje szczególnego znaczenia świeczce stawianej na ich grobie, który ma być ich wiekiustym azylem.

Co najmniej od stu tysięcy lat *homo sapiens* ma kulturowo, a może i jakoś „genetycznie” wpojone przekonanie, że zwłoki ludzkie nie powinny być pozostawiane bez ich stosownego potraktowania. Uruchamia to rozmaite reakcje i działania ludzi, którzy stają wobec wyzwania, jakim jest pojawienie się martwego ciała. Zabezpieczano je na rozmaite sposoby, zgodnie z dominującą eschatologią.

Przekonanie o nienaruszalności pochówków głęboko tkwi w europejskiej tradycji, bo wywodzi się co najmniej z prawodawstwa rzymskiego. Również w innych kulturach, w których zwłoki nie są niszczone, naruszanie spokoju zmarłych uznawane jest za złamanie podstaw porządku społecznego. Spokój zmarłych zapewnia bowiem spokój żywym, dając im nadzieję na to, że ich własne szczątki pośmiertnie też zazną spokoju.

Współczesne prawodawstwo gwarantuje nienaruszalność pochówków, aczkolwiek nie bez zalegalizowanych wyjątków. Należą do nich: zaspokojenie potrzeb procesowych, ekshumacje wymuszane sytuacyjnie i badania naukowe. To pozwala archeologom badać ludzkie szczątki, co jest niezbędną drogą do poznania naszych odległych przodków. Groby, które otwierają, są z reguły ściśle anonimowe, więc nie ma tu problemu naruszenia czyjejs osobistej czy rodzinnej „prywatności”.

Transgeneracyjna solidarność gatunkowa sprawia, że chociaż kości ludzkie materialnie nie różnią się od zwierzęcych, to są przecież zupełnie inaczej odślaniane, dokumentowane, przechowywane i analizowane. Ta staranność nie broni archeologów przed zarzutami bezceremonialnego łamania wymogów ochrony należytej doczesnym szczątkom naszych poprzedników. Nie pomaga powoływanie się na kryterium zapomnienia.

Magazyny muzealne pełne są zachowanych w różnym stopniu szczątków. Nie identyfikowalne z nazwanymi ludźmi, ale też niebędące artefaktami, traktowane są nie jak quasi-przedmioty, lecz raczej jako liminalne osoby. Jako takie są więc specjalnie traktowane. Nawet to bardzo ostrożne podejście budzi jednak kontrowersje.

Szczególnym przypadkiem są pretensje zgłaszane przez reprezentantów ludności autochtonicznej i grupy fundamentalistów. Deklarują oni swoje powiązanie z dawno wymarłymi populacjami reprezentowanymi przez kości ludzkie, albo powołują się na rygorystycznie interpretowane wskazówki religijne. „Potomkowie” bardzo dawnych mieszkańców danego obszaru uzurpują sobie też monopol na wiedzę o tym, jak powinno się pochować te kości, które mogą pochodzić sprzed tysięcy lat.

Organizują po swojemu pogrzeby swoich rzekomych „przodków”, stosując obrzędy o wątpliwym lub raczej żadnym związku z kulturą, do której należeli „archeologiczni” zmarli. Argumenty odwołujące się do poprawności politycznej i oddawania spra-

wiedliwości autochtonom skutkują więc powierzaniem im cennych często szczątków. Ta uzurpacja kulturowa bez skrupułów umieszcza dawno zmarłych ludzi w zupełnie nowym kontekście społeczno-kulturowym, w który zostali włączeni na mocy autorytatywnej decyzji jako nowi „przodkowie” wszystkich członków danej społeczności autochtonicznej lub grupy religijnej. To dążenie, aby wszystkie szczątki ludzkie „spoczywały w pokoju”, powoduje pozbawienie badaczy dostępu do cennych świadectw naszej przeszłości gatunkowej.

Największy zasięg miało wymuszone prawem ponowne pogrzebanie wszystkich(!) kości młodszych niż 5000 lat, jakie znajdowały się w izraelskich magazynach naukowych. Jedynym argumentem było przywołanie żydowskiej tradycji wymagającej nienaruszalności pochówków aż do nadejścia Mesjasza. W ten sposób kości tysięcy zmarłych włączono autorytatywnie do tworzonej od wielu tysięcy lat kolejki ortodoksyjnych Żydów, oczekujących z nadzieją na ostateczne zmartwychwstanie.

W wielu krajach oddaje się „stare” kości Indianom, Inuitom/ Eskimosom i Maorysom. Środowiska naukowe poruszyło wydanie liczącego 10 000 lat szkieletu Indianom Idaho, którzy rytualnie pochowali swojego „przodka”. Jedynym argumentem na rzecz takiej decyzji było znalezienie jego kości na ich terytorium plemiennym. Jest to tylko jeden z wielu bulwersujących skutków bezrefleksyjnego stosowania Native American Graves Protection and Repatriation Act (NAGPRA), wprowadzonego w USA w 1990 r.

Taki trend, obserwowany również w innych krajach, pokazuje, jak uproszczone rozumienie „sprawiedliwości historycznej” prowadzi do decyzji, które pozornie mogą być poprawne politycznie, ale są bardzo wątpliwe historycznie, nie wspominając o ich negatywnym wpływie na badania przeszłości naszego gatunku.

Prowokuje to interesującą refleksję nad statusem pradziejowych szczątków ludzkich. Raz już przecież zostały pochowane w swoim oryginalnym kontekście społeczno-kulturowym, który znamy głównie dzięki wykopaliskom archeologicznym. Chęć poznania odległej przeszłości spowodowała, że zostały wyekshumowane przez badaczy i włączone do współczesnego kontekstu (naukowego). Po uznaniu pretensji ludzi uzurpujących sobie prawo do reprezentowania „właścicieli” tych kości z odległych epok, są beceremonialnie przenoszone do zupełnie innego kontekstu (tym razem etnicznego) i ponownie pogrzebane.

Takiemu drugiemu pochówkowi mogą towarzyszyć emocje równie silne, jak w trakcie pierwotnego pogrzebu przed setkami i tysiącami lat, ale mają one zupełnie inny charakter. W pierwszym przypadku to był prawdziwy żal tych, którzy stracili członka swojej społeczności i żegnali go, zapewniając mu pochówek zgodny z lokalnym obyczajem. Natomiast w trakcie drugiego pogrzebu dominującym uczuciem jest satysfakcja tych, którym udało się wyegzekwować swoje pretensje do reprezentowania człowieka z przeszłości. Deklarowany przez nich szacunek dla niego jest w rzeczywistości napędzaną politycznie uzurpacją, która przynosi nauce o przeszłości niepożądane straty.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Instytut Archeologii i Etnologii PAN,
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków

Kraków – warto wiedzieć

Muzyka w czasach pandemii

Rozpoczęciu sezonu 2020/2021 w Filharmonii Krakowskiej towarzyszyły dwa ważne wydarzenia: zakończenie remontu i powołanie nowej dyrekcji. 1 września br. decyzją Zarządu Województwa Małopolskiego nowym dyrektorem Filharmonii Krakowskiej został Mateusz Prendota – chórzysta i solista Filharmonii, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Stowarzyszenia Passionart, inicjator zorganizowania krakowskiego Royal Opera Festival. Jego zastępcą jest Beata Płoska z orkiestry Filharmonii, absolwentka Wydziału Instrumentalnego (altówka) oraz Wydziału Twórczości, Interpretacji i Edukacji krakowskiej Akademii Muzycznej, b. prezes Stowarzyszenie Artystycznego Horizon.



Tym razem na estradzie zasiedli dziennikarze zaproszeni na spotkanie z nową dyrekcją Filharmonii.

A co czeka melomanów w najbliższej przyszłości? – Nadszedł czas przeobrażeń i ewolucyjnej transformacji – informuje Mateusz Prendota. Przyszedł sezon powrotu do fundamentów zapisanych w partyturach Mozarta, Haydna i Beethovena, których twórczość sprzyja budowaniu zespołów muzycznych najwyższej próby. Usłyszemy utwory Szymanowskiego, Kilara, Góreckiego i Pendereckiego, wykonywane pod dyktando znakomitych dyrygentów młodego pokolenia. Nowością będą koncerty wykonywane w kilku miastach województwa małopolskiego.

– Przed nami trudne wyzwania – przyznaje Beata Płoska, zastępcza dyrektora. Oboje jesteśmy wieloletnimi pracownikami Filharmonii i dobrze znamy problemy zespołów tej instytucji. Wiemy, jakie są mocne i słabe strony krakowskiej Filharmonii. Nie ukrywamy, że te drugie istnieją. Będziemy pracować przez najbliższe lata, aby Filharmonia dobrze zaistniała na mapie kulturalnej Krakowa, regionu i dalej, na estradach Europy także. To wielkie wyzwanie i zarazem odpowiedzialność. Ale jesteśmy optymistami, pracujemy z koleżankami i kolegami, z którymi znamy się od lat. Wiemy, jaki jest potencjał w obu zespołach. Chcemy ten potencjał możliwie wzmacniać specjalnym repertuarem i doбором dyrygentów, którzy są też traktowani jako trenerzy, ci którzy pracują z zespołami, nad koncepcją wykonawczą, artykulacją – nad wszystkim, co ostatecznie tworzy dzieło końcowe.

Dlatego nie znajdując melomani w repertuarze dzieł Mahlera, Brucknera, Straussa – tak cenionych przez publiczność. Znajdą natomiast absolutną klasykę, będącą podstawą istnienia każdego zespołu, każdej orkiestry: klasyków wiedeńskich, kompozytorów okresu wczesnoklasycznego, klasycznego i wczesnoromantycznego. Taki właśnie wybrano repertuar, bowiem są to utwory, które dają orkiestrze i chórom szansę zupełnie innej pracy niż dotychczas.

Będą małe koncerty prowadzone nie przez dyrygenta, a przez koncertmistrza. To jest inna formuła pracy, inna także korespondencja między muzykami.

Z kolei chór będzie brał udział nie tylko w wykonywaniu oratoriów, będzie realizował też utwory *a capella*. – Będziemy śpiewać w mniejszych składach. Będziemy wykonywać muzykę, która nie zawsze w Krakowie była wykonywana. Powiem więcej: słuchacze będą mieli szansę usłyszeć solistów wywodzących się z chóru, bo wbrew pozorom, w wielu przypadkach bardzo dobre, ciekawe głosy kryją się w chórze, a nie były do tej pory zauważane – zapowiada Teresa Majka-Pacanek, chórmistrz.



Jak udowodnia Marcin Bańdo, nawet kotły otrzymały po remoncie własny „gabinet”.

Wszyscy rozmówcy mają nadzieję, że mimo obecnej sytuacji pandemicznej uda się sezon doprowadzić do końca i nie będzie tak, jak było w tym roku, gdy po marcowym koncercie nastąpiła długa przerwa, aż do września. Dla śpiewaków i instrumentalistów minione miesiące były stresującym okresem. Oczywiście, można ćwiczyć indywidualnie, w domu, ale nic nie zastąpi grania i śpiewania w zespole. – Bo my na co dzień żyjemy i oddychamy muzyką, i zamknięcie w domu było odcięciem od czegoś, co było i jest naszą pasją – dodaje Teresa Majka-Pacanek.

Zarówno orkiestra, jak i chór mają teraz zupełnie inne warunki pracy, a melomani słuchania. Rozpoczęty w 2017 roku remont dotyczył struktury całego budynku. Pracownicy otrzymali nowe pokoje ćwiczeń i garderoby oraz przebudowaną estradę, natomiast dla słuchaczy: wymieniono drzwi od strony ul. Zwierzynieckiej, założono ekrany akustyczne, widzowie drugich miejsc siedzą w systemie amfiteatralnym, wszyscy zaś mogą korzystać z klimatyzacji i dwóch wind.

Szczególnym nabytkiem jest jednak fortepian. Model fortepianu koncertowego D-274 zakupiony został podczas pobytu delegacji Filharmonii w salonie fortepianów Steinway & Sons w Hamburgu. W wyborze konkretnego egzemplarza instrumentu uczestniczył prof. Mirosław Herbowski z Katedry Forte pianu Akademii Muzycznej w Krakowie oraz prof. Hubert Rutkowski z Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu. Zadanie pod nazwą „Zakup fortepianu koncertowego na potrzeby Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie” dofinansowano z środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz budżetu Województwa Małopolskiego.

A co najważniejsze: mimo pandemii Filharmonia gra nadal, tyle że w przestrzeni internetowej.

MARIAN NOWY